



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Ignacy Domeyko.

Sto lat już minęło od przyjścia na świat Ignacego Domeyki. Był to mąż niespożytej pracy, zasługi, wiedzy i co najważniejsze co niestety nie zawsze idzie w parze z innymi przymiotami, człowiek wielkiego charakteru. Rozniósł on szeroko sławę polskiego imienia. Nie zapomniał ani na chwilę o własnym kraju, choć przybrana ojczyzna obsypała go zaszczytami i dostatkiem.

Dzieje takiego człowieka, jakkolwiek zamykają się głównie w pracowniach, laboratoriach, audytoryach, zasługują ze wszech miar na poznanie. Stanowią przykład, jak żyć należy, idąc zawsze prostą drogą obowiązku, pracując wedle sił i zdolności i nie tracąc ideałów dobra, cnoty, wiary, które rozświetlają życie tym wszystkim, co ku nim dążą wytrwale. Ignacy Domeyko urodził się r. 1801 w powiecie Nowogrodzkim w cichej wsi Niedźwiadce, należącej do jego rodziców i dziadów.

Nazwisko wsi i rodziny znane jest dobrze wszystkim czytelnikom „Pana Tadeusza,” bo Mickiewicz umieścił w Niedźwiadce niedoszły pojedynek Domeyki z Doweyką, o którym Wojski opowiada, a który za jego sprawą zakończył się zgodą zwaśnionych, a nawet małżeństwem zacieśniającem węzły przyjaźni pomiędzy dwoma rodami.

Nie przypadkowym sposobem ten epizod znalazł się w Panu Tadeuszu. Ignacy Domeyko był

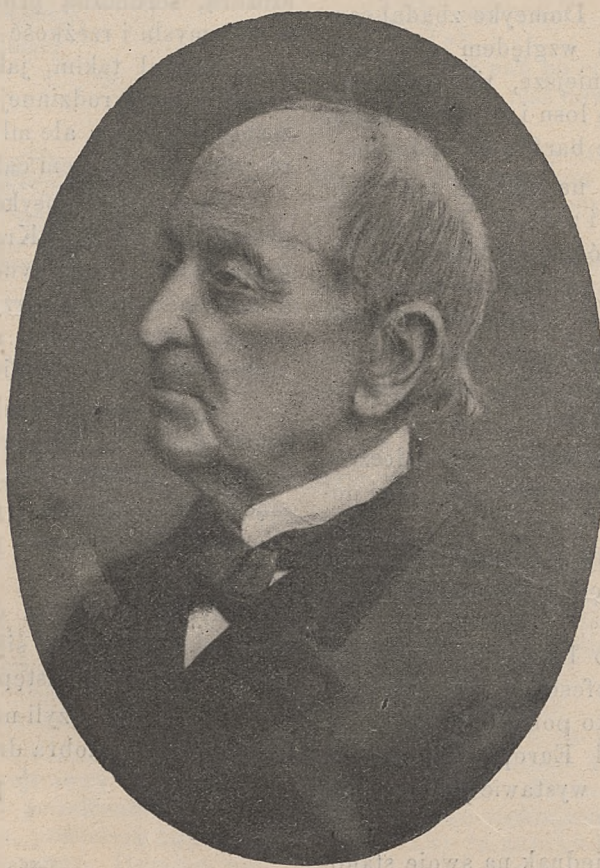
serdecznym przyjacielem Mickiewicza, a nawet będąc w Paryżu, gdy wielki poeta kończył swój wspaniały poemat, pomagał mu w jego przepisywaniu. Domeyko należał do świetnej plejady młodych talentów, które wyszły z uniwersytetu wileńskiego. Słuchał wykładów takich mistrzów, jak Śniadeccy, Lelewel, Borowski, a ten ostatni chociaż mniej sławny, wywierał wpływ tak wielki na swoich słuchaczy, że pominiętym być nie może. Jednakże nad wszystkich zajmowały Domeykę wykłady Andrzeja Śniadeckiego, i można powiedzieć, że ten wielki przyrodnik wpłynął na całą przyszłość Domeyki, który poświęcił się naukom przyrodniczym a wśród nich głównie oddawał się chemii, nie zaniedbując jednak ogólnie kształcących uniejętności jak historia, fizyka, literatura.

W uniwersytecie Domeyko zawarł przyjaźń z Mickiewiczem, z Odyńcem i wszystkimi znakomitymi umysłami pomiędzy młodzieżą, którą łączyły węzły serdeczne. Z Mickiewiczem i Odyńcem, Domeyko pozostał zawsze w korespondencji, którą śmierć tylko przerwała.

Domeyko osiadłszy na wsi, przez lat parę gospodarował tak świetnie, stosując do rolnictwa nabyte wiadomości, że jak pisał poeta, zyskał sobie sławę pierwszego w kraju ekonomy.

W Paryżu zapisał się do szkoły górniczej i skończył ją tak świetnie, że zwrócił na siebie uwagę znakomitych uczonych, którzy w niej mieli wykłady.

Była to podwalina jego przyszłej działalności, bo polecony przez nich, otrzymał w Rzeczypospolitej Chili posadę profesora chemii i fizyki z obowiązkiem założenia laboratorium chemicznego w Coquimbo. Była to



Ignacy Domeyko.

chwila w której Chili organizowało się, zakładało uczelnie i usiłowało wyzyskać bogactwo kopalń, jakie jej ziemia zawiera. Domeyko wykształcony i zamiłowany w swoim przedmiocie, energiczny, pełen dobrej woli, był dla niej jakby człowiekiem opatrnościowym. Na chwałę Chilijczyków powiedzieć trzeba, że poznali się prędko na jego wartości. Właśnie wówczas zakładano szkołę górniczą w Coquimbo, nad oceanem Spokojnym, on więc, obeznany ze szkołami francuskimi, stał się wkrótce faktycznym jej kierownikiem, bo wszelkie ulepszenia i zmiany przez niego proponowane, były zawsze przyjęte i wydawały najlepsze owoce.

Wakacje spędzał zwykle w towarzystwie niektórych słuchaczy, badając pokłady minerałów, w które obfitują Andy chilijskie. Pracował też niezmiernie nad chemią, wsławił się różnemi odkryciami. Między innemi odkrył nowy związek arsenu z miedzią, który od jego nazwiska nazwany został *Domeykitem*. Odkrył też bogate pokłady miedzi, srebra, złota.

Te świetne rezultaty, oraz wielkie postępy, jakie czynili jego słuchacze, nadały Domeyce niezmierną powagę. Poznawszy kraj i naród, z którym miał do czynienia, zaprojektował różne urządzenia szkolne, przystosowując je do potrzeb miejscowych i te odrazu przyjęte, wprowadzone zostały w życie.

Nie poprzestając na tem, zasilał pisma naukowe w Europie cennemi artykułami, pisał podręczniki do nauk przyrodniczych dla szkół w Chili, oraz wydał dzieło pierwszorzędного znaczenia, „Araukania i jej mieszkańcy,” które wywołało niezmiernie wrażenie nie tylko w Chili, ale w całym świecie i zostało tłumaczone na wszystkie prawie języki.

Araukanie są to pierwotni mieszkańcy Chili. Opisał ich jeszcze w XVI wieku poeta hiszpański Ercilla w swoim poemacie bohaterkim „Araukania.” Domeyko zbadał sam ich pozostałe plemiona, opisał pod względem etnograficznym i obyczajowym, a co najważniejsze, nakreślił plan postępowania, dążący do poprawy ich losu i ucywilizowania, który przyjęty, okazał się w praktyce bardzo szczęśliwym.

Słowem, działalność Domeyki na każdym polu była dobroczynną i trudno zliczyć prace i zabiegi, jakie podejmował dla dobra społeczeństwa, któremu służył całą duszą. Pierwiastkowo zobowiązał się pozostać w Coquimbo lat sześć, ale po upływie tego czasu Chilijczycy potrafili zatrzymać go na czas dłuższy. Był oceniony jak na to zasługiwał i żył się ze społeczeństwem, które rozwijało się bujnie w wielkiej części pod jego wpływem.

Przywiązały go też do tego kraju węzły serdeczne, ożenił się z panną Sotomayor, należącą do najbardziej poważanych rodzin w owym kraju.

Choć dużo młodsza od męża, odumarła go przecież po dwudziestoletnim szczęśliwym pożyciu, zostawiając dwóch synów i córkę.

Ze szkoły górniczej powołano Domeykę do stolicy chilijskiej San Jago, gdzie został profesorem uniwersytetu. W r. 1867 po trzydziestoletnim blisko pobycie w Południowej Ameryce, pierwszy raz odwiedził Europę, jako przedstawiciel przemysłu chilijskiego na wystawie powszechnej w Paryżu.

Po krótkim pobycie powrócił jednak na swoje stanowisko, a dopiero w kilkanaście lat później, straciwszy żonę,

sam licząc już z górą lat siedmdziesiąt, zapragnął dobrze zasłużonego spoczynku, zapragnął ujrzeć kraj własny i miejsca rodzinne, do których tęsknił zawsze pomimo pracy i domowego szczęścia. Projekt kilka razy odkładany, bo wdzięczni Chilijczycy, nie mogli się tak łatwo rozstać z ukochanym uczonym, naówczas rektorem uniwersytetu w San-Jago, urzęczywistniony został wreszcie w r. 1884. Wyjazd Domeyki był dla niego uroczystością tryumfalną. Stany chilijskie w nagrodę tyloletnich zasług, przyznały mu dożywotnią pensję trzydziestu tysięcy franków. Oddano na jego usługi na kolei wagon prezydenta, na stację odprowadziła go cała niemal ludność miasta, której miłość umiał sobie zjednać przyjaznem obejściem i dobrocią, jak zyskał sobie cześć powszechną głęboką wiedzą. Wielu najznacniejszych obywateli odprowadziło go do Valparaiso, gdzie wraz z synami wsiadł na okręt. Córka jego była już od lat kilku poślubiona swemu stryjecznemu bratu Leonowi Domeyce i przy niej ojciec pragnął życia dokonać.

Tym sposobem nie zerwały się węzły, które łączyły go z ziemią rodzinną, a teraz śpiesząc do rodzinnego kraju, śpieszył także odwiedzić córkę, zięcia i krewnych. Przed wyjazdem jednak z Chili, rozczulony pożegnaniem, jakie mu zgotowano, obiecał, że odwiedzi jeszcze przed śmiercią tamtejszych przyjaciół.

Przyjazd Domeyki był prawdziwą uroczystością dla Warszawy. Wyjechał na jego spotkanie przyjaciel młodości Antoni Edward Odyniec z córką, panią Teresą Chomętowską i najstarszą z wnuczek. Na dworcu w Warszawie witało go grono przyrodników, lekarzy i nieznanymi wielbicielami, a wśród nich był wnuk Adama Mickiewicza, młody bardzo naówczas Władysław Ludwik Górecki.

Cieszyła się Warszawa drogim gościem, podziwiała szczerą, serdeczną prostotę obejścia, podziwiała jego żywość umysłu i rzeźkość ciała. Powrócił po pół wieku duchem niemal takim, jakim wyjechał, nie zapomniał nawet akcentu mowy rodzinnej. Z dawnych druhów mało który został przy życiu, ale młodzi, okazali mu cześć i miłość, na jaką sobie życiem całem zasłużył.

Dwa lata Domeyko przebywał u córki w pow. Nowogrodzkim, odwiedził Kraków, a w roku 1887 był w Rzymie, gdzie jeden z jego synów, wyświęcony został na księdza, a stamtąd odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej. W roku następnym postanowił spełnić przyrzeczenie dane przyjaciołom chilijskim i odwiedzić ich.

Tym razem jednak niezmiernie dotąd podróżnik, uczuł znużenie. Siły widocznie wypowiedziały mu posłuszeństwo, przybył chory już do San-Jago, a we dwa miesiące po przyjeździe, gdy zdawał się wracać do zdrowia, niespodzianie dokonał pracowitego życia dnia 23 stycznia 1889 roku.

Była to piękna dusza, wielki umysł i wielkie serce. Kraj nasz poszczycić się nim może, stawiając go jako przykład pokoleniom następnym. Obyśmy byli do niego podobni, jak on zaznaczyli nasz pobyt na ziemi ciągłą pracą, podejmowaną dla dobra drugich.

Walerya Marrené-Morzkowska.

Do Jaskółki.

Odpowiedź na wiersz „Do jasnych chwilek.”

Ot — Jaskółce się zacheiało
Podczas zimy, ciepłej wiosny!...
Czyż jej było jeszcze mało?
Niech rozsądzą jodły, sosny!

Ty w Syrenim pewnie grodzie
Wiosnę, lato przepędziłaś,
I skrzydelka w mgłnej wodzie
Szarej Wisły swe moczyłaś.

Nie dziwnego, że tak skoro
Przeszły Tobie dni wiosenne
W mieście, gdzie jest kurzu sporo
I powietrze takie zmienne.

Żebyś miła Jaskółeczko,
W lasach naszych przebywała,
To, ogrzana przez słońce, po
Po dniach całych byś śpiewała.

Tu byś razem z ptaszkami
Po dniu znojnym w cieniu spała,
Kolysana ich śpiewami,
Jak dziecina jaka mała.

* * *

Przejdą przecież dni zimowe,
I powrócą owe chwile —
Dni pogodne, jasne, zdrowe,
Którym święcisz westchnień tyle.

Lecz już wtedy nie siedz w mieście,
Ale przybądź w strony nasze,
Niedaleko — wiorst ze dwieście,
Przyjmie chętnie miłe ptasze.

Sep.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dokończenie).



Wjrzałem oknem, znajdowałem się na obszernej, piaszczystej mieliźnie. Wznaczonej odległości widać było drzewa i domy, a więc ląd — ziemia! Spojrzałem na morze, okręt jakiś rysował się na dalekim horyzoncie.

W tej chwili zachwiałem się i upadłem, bo chciałem stanąć o własnej sile, gdyż otwór wejściowy znalazł się u góry, a ja co prędzej pragnąłem go odśrubować. Po chwili dopiero wstawszy, uczyniłem to, powietrze świszcząc wchodziło do wnętrza, byłem niem odurzony. Uczułem mo-

cny ból w piersiach, usiadłem i zacząłem ciężko oddychać. Po jakimś czasie ból ustał, oddychałem już swobodniej.

Wyprostowałem się i głowę wysunąłem otworem, ale siła powietrza wepchnęła mnie napowrót wewnątrz kuli, która potoczyła się na bok. Lecz po następnych próbach wydostałem się na wybrzeże zdrów i cały, tylko ruszyć się nie mogłem, gdyż zdawało mi się, że jestem z ołowiu — tak byłem ciężki, ziemia rozpościerała już bez przeszkody władzę swą nade mną.

Był bardzo wczesny ranek; rozejrzałem się dokoła, na prawo widać było kamienisty brzeg, a na nim kilka małych chat, latarnię morską i cypel lądu, wchodzący w morze, z lewej strony jakieś niewielkie sadzawki, a w głębi rząd skromnych domów, jakby świeżo powstające miejsce kąpielowe. Gdy przyzwyczaiłem się znów do powietrza ziemi naszej; powstałem jeszcze z pewną trudnością, przeciągnąłem się razy kilka, aby członkom moim nadać dawną giętkość a czując porządną głód, pomyślałem z jaką przyjemnością napiję się gorącej kawy ze świeżymi bułeczkami, bo choć nie wiedziałem, gdzie jestem, ale pewny byłem, że znajduję się w Europie, a serce mi mówiło, że na angielskim wybrzeżu.

Usłyszałem też czyjeś kroki za sobą, odwróciwszy się, spostrzegłem jakiegoś jegomościa z ręcznikiem na szyi; szedł ku morzu, aby użyć rannej kąpeli. Po flanelowym ubraniu poznałem rodaka. Idąc, przypatrywał mi się ciekawie, jak również szklanej kuli, wreszcie przystanął i zawołał — „Hola, kto pan jesteś!”

Dziwiłem się, że mnie panem nazwał, bo rozczochrany, brudny, i obdarty, wyglądałem na szubrawca raczej niż na porządnego człowieka, lecz rad ze spotkania, odrzekłem pospiesznie...

— A pan kto jesteś?

Uspokojony zbliżył się i wskazując na sferę spytał ciekawie.

— Co to może być?

— Najprzód racz mi pan powiedzieć, gdzie ja jestem? — zapytałem.

— W Littlestone, — odrzekł, wskazując szereg domów. Czy pan dopiero co wylądował? A co to za kula? czy to jaka maszyna?

— Tak.

— Czyś pan po rozbiciu statku w tej kuli tu przypłynął? Czy to jest nowy przyrząd ratunkowy? — pytał zaciekawiony.

Spojrzałem bystro na jego dobroduszną twarz, wiedziałem, że mogę mu zaufać, więc potwierdziwszy jego mniemanie, że to jest mój przyrząd ratunkowy, rzekłem z naciskiem.

— Potrzebuję pomocy, aby przenieść to, co się znajduje wewnątrz tej kuli w jakie bezpieczne miejsce, gdyż sam temu nie poradzę.

W tej chwili ujrzałem trzech młodych ludzi idących z kąpielowemi ręcznikami w naszą stronę, wielce mnie to ucieszyło, a uprzejmy pan począł gestami wzywać ich, by się do nas zbliżyli.

Za chwilę nadeszli i równie jak pierwszy kąpielowicz zarzucili mnie pytaniami.

— Wszystko panom opowiem później, lecz teraz umieram ze znużenia.

— Choć pan do hotelu, — rzekł pierwszy mój znajomy, a my zajmiemy się sprowadzeniem pańskiej maszyny.

— Nie mogę, — odrzekłem — w tej kuli, znajduje się całe moje mienie w złotych sztabach.

Spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, a potem jeden na drugiego i milczeli. Ja poszedłem do kuli, wyjąłem grube kute kije, które na ziemi ciążyły sześć razy więcej niż na księżycu, łańcuch, kawałki piki, i położyłem to wszystko przed nimi. Pierwszy jegomość podniósł kij, lecz zaraz upuścił go stęknawszy i zapytał.

— Czy to naprawdę złoto, czy mosiądz?

— Ależ złoto! — zawołali chórem trzej inni.

— Skąd pan wzięłeś tyle złota? zapytał, patrząc na mnie bacznie, dobroduszny, niski jegomość.

Byłem tak znużony, że nie chcąc długo mówić, powiedziałem im prawdę.

— Przywiozłem je z księżycą!

Pojmiecie czytelnicy, jakimi oczami spojrzeli wtedy na mnie wszyscy czterej, lecz ja nie zważając na ich zdziwienie, rzekłem krótko.

— Opowiem wam wszystko później, teraz, panowie, pomóżcie mi przenieść ten kruszec do hotelu — jedną sztabę we dwóch poradzicie, a resztę ja sam zaniosę.

— A ta szklana kula?

— Niestety chwilowo muszę ją tu zostawić.

Młodzi ludzie nie zadawali mi już pytań, posłusznie wzięli we dwóch po jednej sztabie i taką szliśmy procesją do hotelu. Na pół drogi spotkaliśmy gromadkę dzieci: dwie dziewczynki ze szpadelkami, które z przestraczem przypatrywały się dziwnej mojej postaci i szczupły o bystrych oczach chłopak, snąc syn rybaka. Ciekawie się

— Myśl pan o tem, co chcesz.

Najmłodszy z czterech słuchaczy rzekł do innych półgłosem:

— Nie chce nam powiedzieć prawdy i kwita.

— Panowie, rzekłem poważnie, — wiem, że trudno uwierzyć moim słowom, przygody moje są nadzwyczajne, lecz daję wam słowo honoru, iż przybywam prosto z księżycą...

Jestem panom niezmiernie wdzięczny za ich pomoc i zdaje mi się, że panów niczem nie obraziłem.

— Ależ bynajmniej. odpowiedzieli wszyscy razem z bardzo uprzejmymi minami, zapalili papierosy i rozproszyli się po salonie. Okrągły jegomość zbliżył się do okna i rzekł.

— Pogoda jest przepyszna, nie pamiętam tak ciepłego lata.

W tem coś jakby wielka rakietą wyleciała w powietrze. Rozległ się szum..

— Co to jest? — zawołałem.

— Nie wiem, — odrzekł jeden — z panów i żeby lepiej zobaczyć pobiegł do okna, inni uczynili to samo.

— Stąd nic nie widać, — zawołali — i wybiegli przed dom.

Nagle przebiegła mi przez głowę okropna myśl. Jak szalony pobiegłem za nimi. Na niebie z tej strony, gdzie zostawiłem sferę, unosiła się ona teraz w powietrzu jak mały obłoczek.

— To ten chłopiec! to ten przeklęty chłopiec! — krzychałem w największej pasji, i roztrącając ludzi biegłem na wybrzeże, gdzie zostawiłem kulę. Nie było jej tam niestety, tylko pozostawiona przez chłopca siatka.

Stałem na miejscu zdrtwiałym z rozpaczy. Teraz wszystko przepadło: wielki naukowy wynalazek Cavora, wszystkie moje plany aby jechać odszukać zaginionego towarzysza, jeden ciekawy dzieciak w niwecz obrócił te zamiary i sam zginął.

Dokoła mnie stało więcej niż dwadzieścia osób pytających wzrokiem o wyjaśnienie tego zdarzenia.

— Nie mogę państwu tego wytłumażyć, zawołałem głośno, — nie jestem w stanie. I gestykując konwulsyjnie poszedłem do hotelu. Kazałem służącemu przenieść złoto do mego pokoju, zamknąłem się na klucz rzuciłem na łóżko i zacząłem zlorzeczyć wszystkim nieznośnym malcom psotnikom.

W końcu jak wszystko na świecie i mój gniew musiał się uspokoić. Głowa mnie bardzo bolała, zadzwoniłem o syfon wody sodowej, którą popijając, rozmyślałem co mi teraz wypada zrobić. Kazałem sobie podać materyały piśmienne i napisałem list do dyrektora najbliższego banku, aby przysłał dwóch zaufanych ludzi i wózek bo chcę umieścić w jego banku 100 funtów złota.

Potem z podanego mi kalendarza wzięłem adresy: krawca, kapelusznika, składu z bielizną, zegarmistrza etc. aby przyszli wziąć miarę, gdyż potrzebowałem ich towarów. Następnie kazałem sobie podać drugie śniadanie i posiliwszy się należycie, położyłem się spać.

Wyspawszy się dobrze, spokojnie spojrziałam na świat i ludzi, i zgodziłem się z moim losem. Zapłaciłem mojemu dłużnikowi i wyjechałem do słonecznej Italii, gdzie znów piszę ową sztukę zaczęta wtedy w Lympe.

Ale gdy wielki srebrny księżyc świeci wieczorem, myślę o biednym Cavorze, który na to poświęcił swą wiedzę i pracę całego życia, aby zginąć w chłodnych pieczarach



Pierwsza lekcja menueta.

przypatrując, towarzyszył nam długą chwilę, lecz potem pobiegł w stronę, gdzie leżała sfera. Zaniepokoiło to mnie bardzo i z obawą patrzałem za chłopcem.

Zauważył to obok stojący młody człowiek i rzekł uspakajajaco.

— Nie obawiaj się pan, on się jej nie dotknie.

Słońce tymczasem jasno oświeciło morze i ziemię, czułem pogodę w duszy i zadowolenie z dokonanych czynów. Gospodarz hotelu zawahał się trochę na mój widok, lecz towarzysze moi, jego lokatorowie mówili za mnie, a moje sztaby złote zrobiły też duże wrażenie, dość, że wkrótce znalazłem się w ciepłej kąpieli, jeden z towarzyszy pożyczył mi czystej bielizny i ubrania. Z przyjemnością zasiadłem do śniadania. Zajadając świeże jajka, smaczne grzanki i popijając kawę, opowiedziałem w krótkości czterem moim nowym znajomym naszą wyprawę na księżyc, wyniki jej i mój dzisiejszy powrót na ziemię. Słuchali mnie z ciekawością, ale czytałem z ich ócz, że ani słowa nie wierzyli temu, co im opowiadałem, lecz uważali mnie za bardzo sprytnego blagiera. Wreszcie jeden z nich rzekł:

— Ależ to bajka, niemożliwa do uwierzenia.

Wzruszyłem ramionami i odparłem.



UCIECZKA KAROLA ŚMIAŁEGO.

EUGENIUSZ BURNAND.

tajemniczego towarzysza ziemi. Wtedy sen ucieka z mych powiek bo szczerze mi żał tego szlachetnego męczennika nauki.

Koniec.

Ucieczka Karola Śmiałego.

Karol Śmiały, książę Burgundyi, żyjący w wieku XV. odznaczał się odwagą, posuniętą aż do zuchwalstwa, a także okrucieństwem. Ambitny i przedsiębiorczy, pragnął rozszerzyć swoją władzę nad okolicznymi krajami; marzył nawet o tytule królewskim, ale mu się to nie udało; zawód ten jeszcze bardziej podniecił jego ambicję.

Już od r. 1469. Karol rozpostarł był swą władzę nad górnym Renem i powierzył zarząd nad temi ziemiami dumnemu i okrutnemu rycerzowi, Piotrowi von Hagenbach, który srogim postępowaniem wywołał ogólną nienawiść do rządów burgundzkich, a przytem tak rozdrażnił Szwajcarów, że ci sprzymierzili się z księciem Zygmuntem tyrolskim przeciwko Karolowi. Hagenbach został przez oburzonych mieszczan uwięziony a później stracony, co do wściekłości doprowadziło Karola Śmiałego, który wyruszył osobiście na wyprawę, w celu ukarania zbuntowanych.

Zdobywszy Lotaryngię, postanowił zemścić się na Szwajcarach. Ci widząc, że opuszczają ich sprzymierzeńcy, z początku pragnęli zażegnać burzę, zwracając Karolowi wszystkie poczynione przez siebie zabory, byle tylko książę burgundzki zostawił ich w spokoju.

— Nic nie wygrasz na wojnie z nami—mówili posłowie szwajcarscy do Karola, — gdyż ziemia nasza jest uboga. Ostrogi twoich rycerzy i wędzidła twoich koni więcej są warte, niż wszystko złoto, jakie znalazłoby się w kraju naszym.

Doradcy księcia również nie radzili mu rozpoczynać wojnę z ludem, który już Leopoldowi austriackiemu pod Zempach stawiał tak dzielny opór, ale Karol się zaciął, bo pragnął zemsty nad „chłopami” szwajcarskimi, jak ich nazywał. Musieli więc Szwajcarzy przyjąć wojnę. Karol z wojskiem 60 tysięcznym, pewny zwycięstwa, wyruszył przez góry Jura do Szwajcaryi. Chcąc okazać przed oczekiwanymi z Włoch posłami całe bogactwo swojego dworu, zabrał z sobą mnóstwo złotych i srebrnych sprzętów; obóz jego olśniewał przepychem.

Szwajcarzy cofnęli zrazu swoje załogi, rozpoczęła się walka dopiero pod zamkiem Grunson, którego broniło 800 Szwajcarów. Gdy mężna załoga, oszukana mylnymi wieściami o poddaniu się innych miast i twierdz szwajcarskich, zgodziła się na opuszczeniu zamku pod warunkiem swobodnego wyjścia, Karol splamił się ohydłą zdradą, bo pomimo danego przyrzeczenia, połowę załogi kazał wywieszać lub utopić.

Ale kara przyszła niebawem; oburzeni Szwajcarzy wyruszyli przeciwko wiarodolcy, mając na czele dwóch dzielnych wodzów: Hansa z Hallwyli i Mikołaja z Scharnachtalu, sołtysa z Bernu, wojska burgundzkie były dwa kroć liczniejsze od szwajcarskich. Przed bitwą pobożni Szwajcarowie uklekli i zaczęli się modlić; Burgundczycy wzięli to za trwogę w obec niebezpieczeństwa, zaczęli też śmiać się z nich i przedrwiwać ich pobożność.

Niebawem rozpoczęła się bitwa. Około trzeciej godziny Szwajcarom nadeszły posiłki z Uri, Unterwalden i Lucerny coraz nowe oddziały uzbrojonych górali występowały z wąwozów. Wówczas strach wielki objął Burgundów, którzy niedawno śmiali się ze Szwajcarów.

Najpierw piechota ušla z placu boju, następnie pierzchła artylerya, całe wojsko burgundzkie rozproszyło się jak dym. Daremnie Karol z obnażonym mieczem zabiegał drogę uciekającym; niepodobna już było myśleć

o dalszej walce, sam książę musiał się ratować szybko ucieczką, a ogromne łupy dostały się w ręce Szwajcarów.

Karol nie posiadał się z wściekłości, że gwi nędzni chłopci pokonali jego świetną armię; począł szukać zapomnienia w winie i wciąż myślał tylko o zemście. Jeszcze w tym samym roku zebrał nowe wojsko i natychmiast wyruszył do Szwajcaryi. Znów przyszło do bitwy pod Marten. Szwajcarzy prowadzeni przez tego samego Hansa Halwylla, ujrawszy obóz burgundzki, zatrzymali się w lesie, licząc na to, że książę opuści wygodne swoje stanowisko i sam pierwszy na nich uderzy. Karol jednak wytrzymał swoje wojsko przez sześć godzin w szyku bojowym, podczas ulewnego deszczu, oczekując na atak Szwajcarów. W końcu sądząc, że ci odłożyli bitwę do dnia następnego dał rozkaz do odwrotu, lecz w tedy Szwajcarzy rzucili się na jego wojsko z okrzykiem i rozpoczęła się zażarta walka. Burgundowie napadnięci ze wszystkich stron, zdziśiatkowani, poszli w rozsypkę; wielu utonęło w jeziorze Genewskim, wszystkich poległych żołnierzy burgundzkich liczono około 20,000,

Sam książę wraz z trzydziestu towarzyszami musiał haniebnie uchodzić z pola bitwy ku jezioru Genewskiemu, tę właśnie chwilę przedstawia nasza rycina. Klęska ta ostatecznie złamała dumnego człowieka; całe dnie spędzał w ponurem milczeniu, odpychał od siebie napój i jadło, często zgrzytał zębami z wściekłości przeklinając zdrajców i tchórzy,

Jeszcze raz wystąpił do walki z księciem Lotaryngii, któremu pomagali dzielni Szwajcarzy; rozpoczął oblężenie Nancy, stolicy tego księstwa. Było to 5 stycznia w 1777 r. a więc w niespełna rok po porażce pod Marten. Gdy Karol wsiadał na koń przed stanowczą rozprawą, spadł mu z szyszaka lew złoty:

— „Znak to od Boga zesłany” — zawołał książę burgundzki. Jakoż nie omyliły go przecucia, w bitwie owej poległ z rąk tych samych Szwajcarów, których z taką zaciętością prześladował. W ten sposób mściwość i pycha zostały ukarane.

Marya Łopuszańska.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dalszy ciąg).

Co Wanda robi? — spytała, nie widząc jej nigdzie.

— Wanda położyła się — odrzekła Mania — bo ma silny ból głowy.

— Więc nie uczyła się?

— Owszem, i może dla tego rozchorowała się mocniej, bo pomimo bólu głowy pisała długo jakieś wypracowanie.

— Ach, to wypracowanie! i ja długo nad nim posiedzę — westchnęła Irenka.

Lecz pomimo, iż do późna siedziała nad lekcyami, wypracowanie nie było gotowe.

— Wstanę jutro wcześniej i napiszę — powiedziała sobie.

VII.

Nazajutrz Wanda obudziła się z większym jeszcze bólem głowy, miała przytem trochę gorączki. Pani Ziębiewiczowa zaniepokojona, nie pozwoliła jej wstać z łóżka.

Julcia wybierała się do konserwatorium, gdy Wanda zawołała ją do siebie.

— Proszę cię, oddaj pannie Perzyńskiej moje wypracowanie — rzekła, podając kajet — i powiedz, że jestem chora.

Julcia przyrzekła i wyszła z kajetem do szkolnego pokoju.

— Co to za kajet? — spytała Irenka.

— Wypracowanie Wandy, prosiła, by oddać pannie Perzyńskiej, gdy przyjdzie na lekcję.

— Nie warto oddawać, kiedy Wanda chora, cóż jej z tego przyjdzie i tak musi opuścić te lekcje.

— Może być, zrób jak chcesz, Irenko.

Julcia wyszła. Irenka zabrała się do pisania, lecz nie szło jej jakoś, miała niecałą godzinę czasu przed sobą i ta konieczność pośpiechu odbierała jej do reszty swobodę myśli, pisała i przekreślała, czując, że tak pisać nie można, w końcu zniecierpliwiona położyła pióro.

— Ciekawam, co ta Wanda napisała — szepnęła do siebie i sięgnęła po kajet.

Przeczytała uważnie całe wypracowanie i z westchnieniem wzięła znów pióro do ręki, spojrzała na zegar, brakowało już tylko dwudziestu minut.

— To darmo — powiedziała sobie zniechęcona — już dziś nic nie napiszę.

Nagle błysnęła jej dziwna myśl!

— A gdyby tak poprostu przepisać wypracowanie Wandy? ona chora, korzystać z niego nie może i nikt jej za złe nie weźmie, że go nie napisała, nie skrzywdzę jej, a siebie uratuję.

Walczyła z sobą przez chwilę, czując, że to czyn nieszlachetny, wreszcie pokusa zwyciężyła, otworzyła kajet Wandy i szybko przepisywać zaczęła. Kończyła ostatnie słowa, gdy uzwonek ozwał się w przedpokoju i weszła panna Perzyńska, Irenka wrzuciła do szafy kajet Wandy i rozłożyła swoje; rozpoczęła się lekcja, po której skończeniu następowała godzina geografii, Julcia brała w niej także udział, przed rozpoczęciem spytała cicho Irenki o wypracowanie Wandy.

— Nie pokazałam — szepnęła Irenka — to nieporzebne.

Julcia nie troszczyła się dalej.

Gdy Mania i Antosia wrócili z pensyi, pierwszym słowem było zapytanie o Wandę.

— Nie ma żadnej obawy — rzekła panna Ziębówiżówna — mama sprowadziła doktora, ale ten zdecydował, że to chwilowe niedomaganie, i że za parę dni będzie zupełnie zdrowa.

Rzeczywiście, na trzeci dzień Wanda zabrała się do auki. Nazajutrz wypadła znów lekcja polskiego z panną Perzyńską.

— Co mamy na jutro? — spytała pod wieczór Irenki — czy znowu wypracowanie?

— Tak, a temat zostawiony naszemu uznaniu.

Wanda zabrała się do pracy, lecz była jeszcze trochę słabiona, głowa jej ciążyła, to też nauka przychodziła jej trudniej niż zwykle, a gdy przyszła kolej na wypracowanie, czuła się zupełnie wyczerpaną.

— Co panna Perzyńska powiedziała o moim wypracowaniu? — spytała siedzącej obok Julci,

— Nie czytała go wcale, Irenka uznała, że nie trzeba pokazywać.

— Może to i lepiej, oddam je teraz, głowa mię znowu boli i czuję, że nie potrafię napisać nowego.

VIII.

Nazajutrz obie dziewczynki oddały swe wypracowania, panna Perzyńska przeczytała najprzód zadanie Irenki, następnie wzięła kajet Wandy, lecz zaledwie przejrzała początek, rzuciła surowe spojrzenie na swe uczennice.

— Panno Wando, co znaczy to wypracowanie?

— Zdawało mi się, że tak będzie dobrze.

— Ależ ja to już czytałam we środę.

— Pani czytała...

Wanda zarumieniała się gwałtownie.

— Rzeczywiście, to zadanie było napisane dawniej — szepnęła zmieszana — ale koleżanki mówiły mi, że pani go

nie czytała, byłam parę dni chora, wczoraj jeszcze głowa mię bolała i nie mogłam pisać, sądziłam więc, że nie złego nie zrobię, podając dziś to samo.

— Żadna choroba nie usprawiedliwia przepisywania z cudzego kajetu.

— Ja miałabym przepisać z cudzego kajetu? — zawołała z oburzeniem Wanda.

— Panno Ireno, proszę mi podać kajet! — rzekła panna Perzyńska.

Irenka siedziała jak skamieniała, rozumiała aż nadto dobrze, czym był jej postępek, wstyd ją palił, męczyły wyrzuty sumienia, lecz przyznać się do winy nie miała odwagi, pycha oburzała się na to upokorzenie.

Panna Perzyńska wzięła leżący na stole kajet i pokazała Wandzi nieszczęsne wypracowanie, przepisane przez Irenkę.

— Nie, nie, to nieprawda! to nie ja przepisałam! — wybuchnęła gwałtownie Wanda, Irenko, ty wiesz najlepiej, że to nie ja!

Irenka milczała.

Panna Perzyńska zabierała się do wyjścia.

— Żadne słowa nie przekonają mnie — rzekła — gdy mam dowody w rękę, przykro mi tylko, że uczennica, którą najlepiej lubiłam, dopuściła się podobnego czynu.

(d. n.)

ZE ŚWIATA.

Otwarcie kolei kaliskiej.

W roku zeszłym podaliśmy w „Wieczorach” mapkę kolei kaliskiej, która przechodzi żyzne i przemysłowe okolice naszego kraju i łączy z Warszawą miasta: Błonie, Sochaczew, Łowicz, Łódź, Sieradz i Kalisz. Przed kilkunastu dniami otwarto już ruch prawidłowy na tej kolei i odtąd zamiast kuryerką, ekstrapocztą lub wózkiem najętym będzie można jeździć do Kalisza szybko i wygodnie w wagonie kolejowym. Czytelnicy „Wieczorów” zdają sobie dobrze sprawę z pożytku i znaczenia drogi żelaznej, czytali o tem nieraz na łamach naszego pisma, a wielu przekonało się o tem z doświadczenia własnego. Nie będzie my więc o tem pisali teraz, lecz chcemy pokrótce zapoznać ich z historią tego starego grodu, który wchodzi obecnie w nowy okres swego istnienia.

Ktoby chciał zbadać powstanie Kalisza musiałby sięgać daleko wstecz, bo aż do początku naszej ery. Pisarze łacińscy Pliniusz i Ptolemeusz już w I i II wieku wspominają o miejscowości *Calissia*, jako stolicy kraju Ligów, których królową była owa wdzięczna Lygia, przez Sienkiewicza w „Quo Vadis” tak ślicznie przedstawiona.

W dziewięćset lat potem Bolesław Chrobry wznosił tu zamek obronny i odtąd Kalisz stał się rezydencją wielu książąt, z których przedewszystkiem wymienić należy Mieszka Starego (XII w.) i Bolesława Pobożnego (XIII w.).

Dzięki opiece książąt powstawały w Kaliszu liczne kościoły, i gmachy, szpitale, apteki, drukarnia a nawet zakłady przemysłowe, jak słynne piwowarnie i rękodzielnie sukna. Z biegiem czasu stał się Kalisz miastem wojewódzkim — gubernialnem.

Kalisz leży w dość malowniczej okolicy na lewym brzegu rzeki Prośny, posiada piękny park, i dwa starożytne kościoły: Św. Mikołaja i Fara, w której znajduje się obraz Św. Józefa, cudami słynący. Miasto wydało wielu ludzi pożytecznych i zasłużonych społeczeństwu, a między innymi słynnego poetę ostatniej doby Adama Asnyka, który urodzony i wychowany w Kaliszu, zmarł przed paru laty w Krakowie.

SZARADA.

*Pierwsze jest samogłoska, drugie z trzeciem mieści
Plody ducha ludzkiego rozmaitej treści.*

*Trzecie z drugim to wyraz, co w dawniejsze lata
Miał toż samo znaczenie, co teraz zapłata.*

*Wszystko wraz nie zna liczby bo to rzecz tak drobna,
Że jej na mniejsze części dzielić niepodobna.*

WIERSZYKI BEZ KOŃCÓWEK

do których czytelnicy mają dobrać stosowne wyrazy dla
utworzenia odpowiedniej treści i rymów.

Poczerńało niebo

Poczerńało pole

A gdzie lecisz, odatujesz

Siwy mój

Czy lecisz za góry

Czy za morze sine

Za tem słonkiem, za tem złotem

W weselszą

Weselszą

Znajdziesz sobie wszędzie

Lecz za cichą wiosną naszą

Tęskno tobie

Co spojrzysz za siebie

To serce zasmucisz

Aż się z nową wiosną do nas

I do gniazodka

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48.

Łamigłówki archeologiczne:

Wesoły kolega zrobił figla koledze, napis był wymyślony
i zaczynał:

Naści trocha piroga z syrem a nie pisc.

Nowe wydawnictwa gwiazdkowe nadesłane do redakcyi.

Otrzymałmy już wiele książek, które wkrótce się znajdą
w rękach naszych czytelników, jako podarki gwiazdkowe. Aby
ułatwić wybór według upodobań i wieku, wymieniamy ich listę,
nadmieniając, że są wszystkie bardzo ładnie wydane i licznymi ry-
cinami ozdobione.

Ślicznie wygląda „*Poselstwo z krainy czarów*,” do
którego autorka B. Buyno dodała jeszcze drugą baśń w tym samym
rodzaju p. t. „*Przygody chłopczyka w krainie ptaszków*,”
nieznana naszym czytelnikom. Dla młodszej dziatwy wydano
jeszcze kilka zbiorów pięknych powiastek w ozdobnych wyda-
niach a więc: Jadwigi Warnkówny „*Pieśń poranna*,” Cecylii
Niewiadomskiej „*Nowa gwiazdka*,” Maryi Weryho „*Wśród
swoich*,” J. Chrzęszczewskiej i J. Warnkówny „*Moja pierwsza
książeczka*” i „*Bajki Ezopa*.” Wszystkie te książki nęcą
wzrok swą szatą zewnętrzną i rycinami, a umysł zajmującą treścią.

Dla młodzieży otrzymałmy dotąd cztery książki: dwie histo-

ryczne: „*Dworzanin królewicza Jakóba*” Teresy Jadwigi
i „*Austriacy w Warszawie*” W. Przyborowskiego (pow. z cza-
sów Księstwa Warszawskiego) Z życia młodzieży w Wielko-
polsce „*Jasiek Pliszka*” J. Warnkówny i przyrodniczą p. Zofię
Jotejko-Rudnicką, „*Nowe Wieczory Czwartkowe*,” wszyst-
kie z licznymi ilustracjami.

Oto jest wiązanka nader pękną i zajmująca, a przybędą
jeszcze inne, o których nie omieszkamy wzmiankować.

Od Redakcyi.

Przy dzisiejszym numerze rozsyłamy Nasze premium
gwiazdkowe dla prenumeratorów *Wieczorów Ro-
dzinnych*, a mianowicie znakomitą powieść *Alfonsa Duudela*
p. t. „*Chudziak*.” Premium to wydaliśmy w formie nasze-
go stałego dodatku powieściowego, aby stanowiło całość
z biblioteczką *Wieczorów*, którą tworzą owe dodatki.

Prenumeratory, odbierający „*Wieczory*” pocztą, otrzy-
mają premium wraz z dzisiejszym numerem pod tą samą opaską,
za odpowiednim kwitem pocztowym.

Prenumeratorom miejskim, książkę doręczy nasz roznosi-
ciel po opłaceniu prenumeraty za kwartał IV r. b.

Prenumeratory, którzy odbierają „*Wieczory*” za pośred-
nictwem księgarń lub kantorów, otrzymają premium także za
ich pośrednictwem.

Przy kończącym się roku przypominamy o wcze-
snem odnowieniu prenumeraty na rok 1903 dla uniknię-
cia zwłoki w przesyłce pisma. Zwracamy uwagę na-
szych czytelników na zapowiedź w N-rze 48 i spis ksią-
żek, które nasze prenumeratorzy mogą nabywać po cenie
znacznie niższej.

PRZEGŁĄD PEDAGOGICZNY.

Czasopismo poświęcone wychowaniu szkolnemu i domowemu.

Zamieszcza artykuły teoretyczne ze wszystkich działów pe-
dagogii i wskazówki praktyczne dla wychowawców. *Niezbędny
właszcza dla matek i nauczycieli domowych.*

W osobnym dziale p. t. *Ogródek dziecięcy* podaje przystępne
artykuły i wskazówki, dotyczące wychowania przedszkolnego.

W r. 1902 dołączył dwa dodatki książkowe: 1) *H. de Raaf*
„*Psychologia elementarna*,” 2) *Fr. Queyrat*: „*Logika dziecka i jej
kształcenie*.”

Od 1 stycznia r. p. rozpocznie 22-gi rok istnienia.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie rub. 1 kop. 50;
z przesyłką pocztową rub. 1,75. Redakcja: Żórawia 41.

Administracja: Księgarnia M. Arcta, Nowy-Świat 53.

Księgarnia E. WENDE I Sp.

Krakowskie-Przedm. 9

poleca na Gwiazdkę: *Wydzga Marya*. — Co lubisz?

Album dla dzieci. Cena rub. 1 k. 35.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

2—

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—atósownie do tej ceny półroczna i kwartalna
miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Ignacy Domeyko, przez Waleryę Marénne-Morzkowską (z portretem). — Do Jaskółki, wiersz przez Sępa. — Pierwsi ludzie na
księżycu, H. G. Wells—Pierwsza lekcja menueta (ryc.)—Ucieczka Karola Śmiałego (z ryc.)—Nowa koleżanka. — Ze świata. —
Łamigłówki i rozwiązania. — Od redakcyi. — Dodatek: Koszyczki na choinkę (z ryc.)—Wigilia Bożego Narodzenia. — Dobro
dzieci, wiersz przez Fr. M. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: *Biruta*, przez Z. Rudnicką.

KOSZYCZKI NA CHOINKĘ.

Z cienkiego druciku krajemy 12 równych na 8 centymetrów długich kawałków. Sześć kawałków kładziemy obok siebie i przewlekamy 2 szklanymi paciorkami (fig. 1, a, a, d, d). Pomiedzy tymi paciorkami kładziemy pozostałe 6 drutów w ten sposób, że 2 środkowe są na wierzchu, a po dwu stronach po 2 pod spodem, a tak ułożone przewlekamy jak poprzednie 2 paciorkami (fig. 1. b, b, c, c). Z każdego paciorka wygląda po 6 drucików, rozdzielamy je na 12 części i na 2 druciki wsuwamy zwykły goździk, używany do przyprawy potraw, dobrze wysuszony, aby był miękki i dał się łatwo na drucik naciągnąć, nad nim umieszczamy paciorek i mamy już gwiazdkę (fig. 2) o 12 promieniach. W każdym promyku 2 druciki, rozchylamy je i na każdy pojedynczy wsuwamy jeden goździk, potem przez 2 złączone goździki jeden paciorek i znów na każdym druciku jeden goździk. Tak

powiększoną gwiazdkę (fig. 3) wyginamy, by jej nadać formę wklęsłego koszyka, robimy pałeczek dowolnej długości, przeciągając przez 2 druciki goździki i paciorki, według załączonego wzoru (fig. 4) i końcem drucików przymocowujemy go do koszyczka. Ot i całość gotowa! (fig. 5).

Fig. 6. Bierzemy korek od większej butelki, lub chcąc mieć większy koszyczek, korek od słoika musztardy i odkrawamy plasterk grubości $\frac{1}{3}$ centymetra. Naokoło samego brzegu szczytykiem robimy nacięcia dla wsuwania szczeltek. Szczelki zrobić możemy z pudełka od zapalek, które łatwo da się pokrajać na wąskie paski 2 cent. długości. Dla połączenia szczeltek u góry, robimy koło z wosku, np. ze stoczka i nakładamy je na równo wystające szczelki. Jeżeli taki koszyczek pociągniemy złotą lub kolorową farbą metaliczną, otrzymamy ładną ozdobę choinkową.

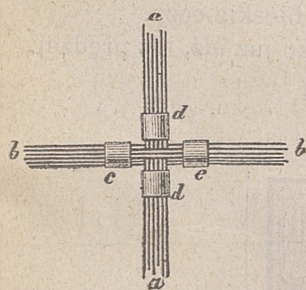


fig. 1.

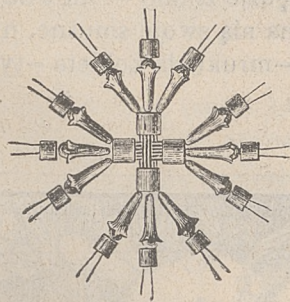


fig. 2.

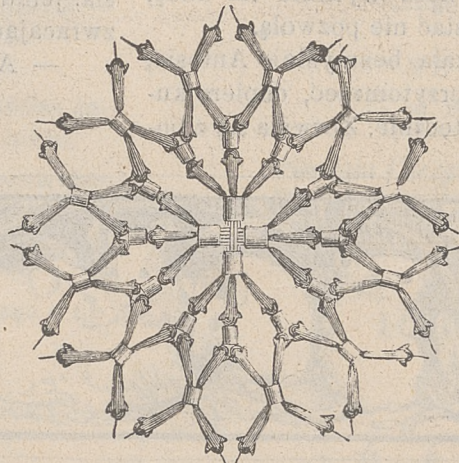


fig. 3.



fig. 5.



fig. 4.

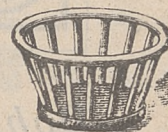


fig. 6.

Wigilia Bożego Narodzenia.

Antosiu! zimno! ja chcę do mamy, ja chcę pod pierzynę! skarżył się mały, pięcioletni chłopiec, leżący na nędznym sienniku w kącie mrocznej suteryny.

— Cicho, cicho Piotrusiu — odpowiedziała dziesięcioletnia dziewczynka, przytulając braciszka — okryję cię chustką, ot tak. Nie wołaj mamy, ona u Boży, a pierzyna już nie nasza, tylko pani Janowej.

— Chcę do mamy, chcę pod pierzynę — powtarzało uparcie rozespane dziecko i głośno płakać zaczęło.

— Cicho! dzieciaku jakiś — odezwał się twardy głos gospodyni mieszkania — chcesz różgą? zaraz ci dam mamę i pierzynę!

— Skaranie Boskie! — mrucał z drugiego kąta śpiący na ławie i kożuchem przykryty wyrobnik Wawrzyniec — człowiek po ciężkiej pracy, w nocy spokoju nie ma!

Antosia tymczasem tuliła, jak mogła Piotrusia, okry-

ła go nędzną kołderką i chustkę matczyną położyła na wierzchu. Chłopczyna zląkł się pogroźek Janowej i różgi, z którą znał się dobrze, uspokoił się więc, łkał tylko cicho.

— Śpij, śpij — szeptała Antosia — powiem ci bajeczkę o ptaszkach. I jąła opowiadać: — Pan Jezus szedł raz miedzą między żytem, aż tu słyszy pisk jakiś, zbliża się, patrzy, na ziemi leży gniazdeczko i czworo piskląt otwiera żółte dziobki. Matkę im porwał jastrząb, a one głodne i wyraźnie wołają: — Jezu! Jezu! Stał Pan Jezus i mówi: — Wzywacie mnie, nie zostawię was sierotami. — I wyciągnął nad gniazdkiem świętą rękę. Aż tu ptaszki cudownie okryły się piórkami, skrzydełka im wyrosły, i wyleciały z gniazda, śpiewając chwałę Bożą. A Pan Jezus poszedł dalej szukać innych biednych sierotek na ziemi.

— A do nas przyjdzie, Antosiu — pytał usypiający Piotruś.

— Przyjdzie, przyjdzie, jak będziesz grzeczny.

Dzieci ucichły, Piotruś zasnął na dobre, Antosia też snem zmorzona, wsunęła ostrożnie, żeby go nie obudzić, skostniałe nogi pod kołdrę.

W mrocznej suterenie, słysząc było tylko miarowy oddech dzieci, sapanie Janowej i ciężkie chrapanie Wawrzyńca.

— Wstawajże leniuchu! a to dziewczynisko spałoby i do południa — gderła Janowa — nie wiesz, że dziś dwa razy tyle, co zawsze wyżebrać trzeba. Przecie to Wilia, w jutrzejsze święto mało kto nosa wytknie na ulicę, a przy kościołach dziady za nic stać nie pozwolą.

— Wilia, Wilia! — powtarzała bezmyślnie Antosia, przecierając oczy, i nie mogąc oprzytomnieć, dopiero kułak złej kobiety otrzeźwił ją ostatecznie. Zerwała się z po-

ścieli, przyodziała trochę i śpiesznie pobiegła po wiadro, żeby przynieść wody z podwórza.

Dzień był posępny, choć mroźny. Drobnym śnieżek pruszył i ostry wiatr dmuchał nielitościwie. Dziewczyna z trudnością przyniosła lodowatą wodę, potem zaczęła rozniecać mały ogień, żeby lokatorowi herbatę zagotować.

Wawrzyniec też wrócił właśnie ze sklepu, niosąc pół bochenka chleba i dwie bułki mularki, tak czekając na śniadanie, przygotował piłę i siekierę, mówiąc głośno: „Ojcie nasz.”

Janowa, która wczoraj za często zaglądała do butelki, narzekała na ból głowy, przysiadła przy swoim kufrze, coś w nim przekładając, ciągle zrzedziała na Antosię.

Już też dziewczyna ukrop z ognia zestawiła, postużyła wyrobnikowi, który zjadłszy śniadanie, pogłaskał ją po głowie i wychodząc obdarzył mularką. Schowała skwapliwie bułkę, a że właśnie Piotruś oczy otworzył, zaczęła go odziewać.

Janowa podeszła tymczasem do blachy, nalała w dwa wyszczerbione kubki tego, co się nazywało herbatą, ukrajała dwa kawałki chleba, wołając na dzieci:

— Śpieszcie się, śpieszcie, idźcie na plac Grzybow-ski, tam dziś jeszcze panie i kucharki rano po ryby przychodzą, a pamiętaj, Antka, jak mi co najmniej dziś pół rubla nie przyniesiesz, to cię za drzwi wyrzucę.

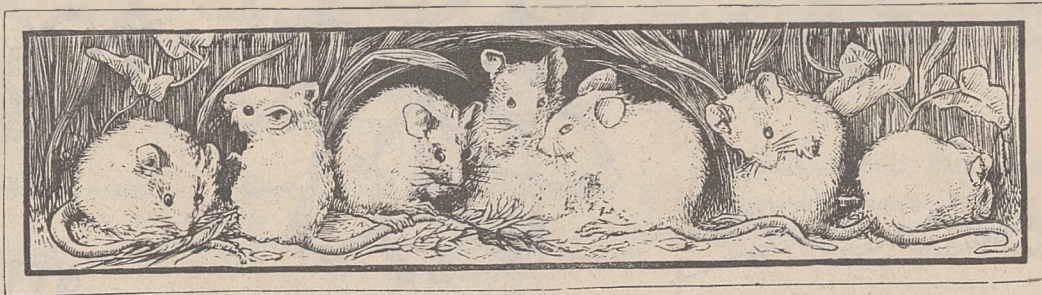
— Nie bierz chustki — dodała, widząc, że Antosia nią się okręca — dosyć ci kaftana, prędzej co dadzą jak będziesz zziębnięta.

— Proszę pani Janowej, wezmę chustkę dla Piotrusia, jemu będzie zimno — mówiła błagalnie dziewczyna, zwracając na nią swoje smutne, niebieskie oczy.

— At—mruknęła kobieta —tylko już idź, idź prędzej.

* * *

(d. c. n.)



Dobre dzieci.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

— Weź, Maryniu, swą nową laleczkę
I zatańcz z nią pięknie poleczkę;
Ja wezmę bębenek mój mały,
I zacznę wam bębnić marsz cały...
To będzie zabawa, to radość! —
— Twej chęci uczynić dziś zadość
Nie mogę, braciszku serdeczny;
Dla mamy jest spokój konieczny,
Wiesz dobrze, że głowa ją boli... —
— Ach, prawda! — i Adaś powoli
Na boku bębenek odkłada,
I z Manią do książki zasiada.

Fr. M.

Paniczyku, prędko mamy zacząć muzykę? — zapytał.

— Dlaczego się pytasz?

— Bo mi się śpieszy, muszę jeszcze dziś iść do pana redaktora z mojem ogłoszeniem.

— To pójdiesz jutro, dziś musicie się ze mną bawić! mamusia wam za to dobrze zapłaci; urządzimy scenę i koncert! Panno Ludwiko, proszę ustawić scenę i kulisy. Mój Boże, że ja też wstać nie mogę!

Począł się krzywić i płakać, zwyczajnie jak chore,

zgrymaszone dziecko, bona chcąc go uspokoić, opowiadała:

— Juleczku, nie płacz, zaraz zajmę się urządzeniem przedstawienia, będziesz rozkazywał, co mam robić dobrze?

Chłopiec uspokoił się, otarł oczy, bona przyniosła dwa małe parawaniki, odgrodziła jedną część pokoju i z jakiegoś szala urządziła śliczną dekorację. Ustawiła przytem kilka doniczek z kwitnącymi krzewami, posadzkę wyłożyła dywanem!

— Ślicznie, bardzo ślicznie — wołał uradowany Julek, a panna Ludwika zadowolona, że dziecko rozweseliło się, mówiła:

— Teraz, wy artyści schowajcie się w ten kącik, zapuszczę rolety, żeby pokój przyciemnić, zapalę świeczniki! Ty, Juleczku, w swem łóżku, jesteś jak w łoży, tutaj postawię krzesło dla mamusi i tatusia.

— I dla siebie, panno Ludwiko, niech przyjdzie także Józefka, cóż to szkodzi, że ona pokojówka i nie zna się na muzyce, ale widzów będzie więcej.

— Dobrze, tylko jeszcze trzeba zrobić bilety!

— Ach, tak, tak, bilety, ja sam napiszę! Jeden dla mamusi najdroższy, bo siedzę w łoży — 20 kop. — mamusia w pierwszym rzędzie, zapłaci 15 kop. — tatuś obok, więc tak samo, a pani?

— Dla mnie i dla Józefki muszą być miejsca tańsze, więc po 5 kop.

— Dobrze, dobrze, wszystko gotowe — i panna Ludwika biegnie z biletami do państwa.

— A co, czy kupili bilety, przyjdą na koncert? — pyta Julek.

— Przyjdą, obiecali.

Julek z radości klaszcze w ręce, panna Ludwika zapala świecznik i lampę. Słychać kroki i szelest sukni.

— Ach, jak tu ładnie, jak ślicznie urządzona scena — woła ojciec, z przyjemnością patrząc na rozbawioną twarzyczkę chorego synka i siada na wskazanem miejscu.

— A gdzie są artyści? — pyta, nie wiedząc o niczem.

— Zaraz, zaraz tatusiu!

Pani zajmuje swoje krzesło, panna Ludwika i Józefka stają za nimi, Julek dzwonkiem porusza!

I uchyla się zwolna zaimprovizowana zasłona, wybiega śliczna jasnowłosa dziewczynka, w krótkiej spódniczce, kłania się zgrabnie i nie dotykając prawie nógkami podłogi, tańczy, fruwa nieledwie, przy dźwiękach fletu Wojtaszka!

Jaka cisza między widzami, jak na prawdziwym koncercie! Pan zapatrzony w dziewczynkę, zdaje się nie słyszeć, pani zakrywa oczy rękami, przez które spadają na jej suknię łyzy wielkie, lśniące jak brylanty.

Cóż to takiego się stało? koncert skończony, a z miejsc nikt się nie rusza?

— Bis, bis, bis! — woła rozbawiony Julek — bis, bis!

Dziewczynka śpiewa po niemiecku, później po węgiersku!

— Zaśpiewaj dziecko po polsku — mówi panna Ludwika.

— Kiedy nie umiem.

— Jakto, przecież jesteście Polakami?

— Tak, — podchwytuje Wojtaszek — jesteśmy dzieci polskie, ale byliśmy w trupie Czardaja, na Węgrzech, tam po polsku nie mówią.

Wtem pan nagle powstaje.

— Ach, coś podobnego jest dziś w Kuryerze, przetrzymałem tylko, bo nie miałem czasu czytać, zaczekajcie dzieci, zaraz przyjdę, przeczytam. Właśnie miałem zamiar przejrzeć to, gdy panna Ludwika po mnie przyszła.

Przyniesiono gazetę, oboje państwo, pochyleni nad nią, czytają jednym tchem prawie; a później pani pada na kolana przed dziewczynką i wyciągając do niej ręce, woła:

— Marychna, to moja Marychna, ukochane dziecko, jedyna córeczka, którą mi skradli przed dwoma laty! O Boże, Boże, jakiś Ty wielki, że mi ją wracasz, bo to, ona, ona napewno! Serce mi to wprzód powiedziało, nim wyczytałam w gazecie! Nic się nie zmieniło moje małenstwo kochane, tak samo śmieje się, jak przed dwoma laty, gdy do snu po raz ostatni tuliła! I ojciec pochyla się nad dzieckiem, i jemu szlachetna twarz drga wzruszeniem.

— I mnie to ogromne podobieństwo odrazu uderzyło, ale nie śmiałem łudzić się w tej chwili, nawet jeszcze nie zupełnie wierzę; choć widzę, te same usta, oczy, uśmiech, co u naszej córeczki na portrecie, tylko, to niepodobieństwo!

(c. d. n.)

SZARADA.

ul. Biały Gołąbek.

*Pierwsza i druga ceniona bardzo
Przez tych co jazdą szybką nie gardzą.
Trzecia, to nuta, piąta z kolei.
Wszystko osłona kiedy deszcz leje.*

REBUSIK.

ul. Kondor.

y	y	y								ier	ier	ier	
y	ś	y	mi	ń	i	ć	czy	lis		ier	ię	ier	szy
y	y	y					u			ier	ier	ier	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go

Szarady zgłoskowej: Wisła.

Łamigłówki sylabowej:

1) Gęś. 2) Ryga. 3) Ewa. 4) Neron. 5) Len. 6) Ananas.
7) Narcyz. 8) Daniel. 9) Y. 10) Anna.

Grenlandya.

Łamigłówki literowej:

I w Paryżu nie robią z owsa ryżu.



Skrzynka do listów.

Nagrode dla Żabki z nad Rosi już dawno wysłano — prosimy upomnieć się o nią na pocztę, gdyby dotąd nie nadeszła.

Józiovi Ch., nasze premium gwiazdkowe otrzymasz przy numerze dzisiejszym.

P. i B. B. Z nadesłanej nam uprzejmie przeróbki scenicznej wiadomej ballady nie możemy skorzystać, bo już podobną przed paru tygodniami nabyliśmy.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Jutrzenka, Kokoszka, Elutka M., M. Daj., z Michałowa, Dzika Lit..., Kangur, Wroneczka z Podlasia, Bodzenta, Suya, Janek Z.

Nie wątpię Dzika Lit..., że jesteś silna i dzielna ale pamiętaj, że jaskółka to drobne ptaszę, ściskając je z całej siły, (jak piszesz) jeszcze ją zadusisz, lepiej już zasyp ją strzałami... swych listów. Jakież to miałaś wypadek na koniu, którego o mało życiem nie przypłaciłaś, czemu o nim tak pobieżnie wspominasz? Serdecznie współczułam przykrości, która cię spotkała. Ach, jak ją rozumiem! wesele, biała sukienka gotowa, nadzieja wesołej zabawy, konie podchodzą pod ganek, a tu nagle ból gardła chwyta, trzeba w domu zostać i tyle miłych marzeń w jednej chwili rozwianych! To bardzo przykra próba w pierwszej wiosnie życia, ale wszystko co nas spotyka pochodzi z woli Bożej, a Bóg ma zawsze nasze dobro na celu, czy ciesząc, czy zasmucając — daje nam siły, byśmy się od młodu uczyli smutki i drobne przeciwności znosić spokojnie i z pogodą w duszy.

W tym roku niejednokrotnie fruwałam nad ruinami zamku w N. i dalej, aż do twojej stacyi kolejowej, ale czy byś mnie poznać umiała, wśród roju skrzydlatych towarzyszek moich — wątpię. Łoch. przyjedzie wkrótce do Warszawy, więc jej twego adresu już nie posyłam. Najserdeczniej za miły liścik dziękuję i pamięci się polecam.

Po długim milczeniu odezwałaś się Oleńko Wścińska, nie z wymówką, lecz z serdecznym powitaniem śpieszę na list twój odpowiedzieć, wyrozumiały jestem i wiem, że nie brak chęci stoi na przeszkodzie do częstszej pogawędki ze mną. Pomyłkę, o której wspomniałaś, sprawdziłam, pochodziła skutkiem omyłki drukarskiej. Zaginiony dodatek wysłano, co zaś do łamigłówek, to ich w tece zadań przeznaczonych do druku nie znalazłam. Przyślij te, które masz ułożone. Twój mały siostrzeniec musi z każdym dniem nowe postępy robić, a gdy już raz mówić zaczął, wkrótce doczekasz się z jego ustek upragnionego miana — cioci. — A nie zapominaj „wścibiać” częściej nie noska lecz liścik do mojej skrzynki.

Wyrażenie moje, Prządko złotych nici odnosiło się do stylu, bo uważam, że pracujesz pilnie, styl i sposób wyśłowienia masz coraz lepszy, naturalny i łatwy. Gdybyś mi chciała przysłać jedno z wypracowań, o których wspominasz, byłabym bardzo rada i chętnie bym je przeczytała, również jak obiecany opis upragnionego wieczorku. Na dzień imienin, zapowiadający się tak wesoło, przesyłam ci życzenia słowami poetki:

„Prządź dziewczę wiernie kądziel swą białą,

Prządź ją od świtu do nocy,

I cicha prządko — wzywaj nieśmiało

Anioła stróża pomocy.

Nie zawsze jednak anioł twój z nieba

Zaświeci skrzydły jasnymi,

O! bo i z siebie moc dobyć trzeba,

By coś dokonać na ziemi.

I z wszystkich cudów tej ziemi Bożej

Wiernie wysnuwaj nie złotą,

A białe skrzydła stróż-anioł złoży

Nad prządka i jej robotą.

List Wroneczki z Podlasia, choć adresowany do redakcyi, wpadł w moje szpony i stamtąd wydostał się w formie odpowiedzi do miłej Wroneczki, która chce się z nami poznać i pyta jak znajdziemy jej pismo. Jak na 9-letnią dziewczynkę bardzo staranne, możesz śmiało wziąć udział w przyszłym konkursie na kaligrafię, a tymczasem wprawiaj się, pisując często do mnie.

Dobre postanowienie i chęć szczerą, to pierwszy szczebel do postępów Sarenko czarnooka, gdy je sobie przyswoisz, nie wątpię, że nauki coraz lepiej ci pojdą, a nawet ową arytmetykę uda ci się pokonać. Bardzo się cieszę, że wystawa robót twoich rówieśniczek w „Wieczorach” podobala ci się i zachęciła do konkursu. Wiem, że pomimo mrozu i wiatru, dość dużo osób zwiedziło redakcyę owej niedzieli, z zajęciem oglądało wszystkie roboty rozłożone na stołach i znalazło, że wykazują umiejętność i wprawę. Piszesz, że masz siostry i brata, donieś mi coś więcej o nich i o sobie.

Że nie jesteś kaligrafem, temu zaprzeczyć nie mogę, kochany Bodzento, ale twoje „bazgraniny” jak je zwiesz, są czytelne, a ja stale rada jestem, gdy mnie wiadomość z nad Warty doleci, szkoda tylko, że tak krótkie i dorywcze. Winszuję ci, że mając lat dwanaście, jesteś już w IV klasie. Czy siostry twoje czytują „Wieczory?”

Prędkiej odpowiedzi żądasz Polna Myszko, więc śpieszę, śpieszę... ale zanim ją z drukarni na świat wypuszczą, cały tydzień upłynie, a może twój brat nie od razu odeśle ci ten numer i będzie nowa zwłoka, ale nie z mojej winy. Powinnaś się z bratem ułożyć co do podziału pisma i każde swoje odbierać. Oczekuję długiego listu i ładnych kart, które mi obiecujesz.

Dowiedziałam się Kulko Świd., że pragniesz się ze mną zapoznać, lecz pierwsza nie masz odwagi listu napisać, a to przecież nie tak straszne ani trudne. Weź ćwiartkę papieru i napisz do Jaskółki to, co byś jakiej życzliwej znajomej opowiedziała o sobie po dłuższem niewiedzeniu. Żalowałam, że cię w redakcyi poznać nie mogłam, pierwsze lody byłyby od razu przelane. Mieszkając teraz w Warszawie, możesz przechodzić Mazowiecką wprost listy swoje i rozwiązania do skrzynki redakcyjnej wrzucić.

Wygnanemu Urwisowi z Kopenhagi. Redakcyę zaciekały twoje próby literackie i proszę cię, abyś przysłał swój artykuł o Danii do oceny. Czy na Święta przyjedziesz do domu.

Dawno już nie miałam listów od Wielkopolanki, Nadobrzanki, Machegi, Inżyniera i Miechowity, którzy do niedawna tak często i serdecznie pisywali, czyżby zapomnieli o szczerze wam wszystkim oddanej

Jaskółce.

Żarcik na zakończenie.

— Jędrusiu! — woła ciocia — powiem mamie, że jesteś niegrzeczny!

— Ach, ciociu — odpowiada Jędrus — przecież mama wie o tem najlepiej.

Teatr Maryonetek (Chmielna 9).

Zwracamy uwagę naszych czytelników, że w ich teatrzyku przedstawiają teraz nową a bardzo ciekawą sztukę, osnutą na tle podań ludowych, pod tytułem: „Pacholik Twardowskiego.”

„W mieście i na wsi.”

20-cia powiastek dla młodych dzieci
opowiedziała

Konstancja Darewska-Weryho

wydanie 2 z 10 rysunkami.

Cena w kartonie 50 kop., w ozdobnej oprawie 80 kop., do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni Józefa Zawadzkiego
w Wilnie (filia w Kownie).

4—3